WILBUR

SMITH

Siódmy papirus

CYKL EGIPSKI

Mrok wypełzał z pustyni i ocieniał wydmy fioletem. Grubym aksamitnym płaszczem stłumił wszelkie dźwięki — wieczór zapadł spokojny i cichy.

Stali na szczycie wydmy i patrzyli w kierunku oazy otoczonej wioską z białymi budynkami o płaskich dachach, nad którymi górowały palmy daktylowe — jedynie meczet i kościół koptyjski wystawały ponad drzewa. Te dwa bastiony wiary spoglądały na siebie z przeciwnych brzegów jeziora.

Jezioro pociemniało. Stado kaczek wodowało szparko na powierzchni, tworząc białe rozbryzgi w pobliżu trzcinowych zarośli.

Mężczyzna i kobieta na pierwszy rzut oka nie stanowili dobranej pary. On — wysoki, choć lekko pochylony, o posiwiałych włosach, na których igrały ostatnie promienie słońca; ona — młoda, tuż po trzydziestce, energiczna, szczupła, o kręconych bujnych włosach związanych teraz na karku rzemykiem.

— Pora schodzić. Alia na pewno się niecierpliwi.

Uśmiechnął się do niej serdecznie. Była jego drugą żoną. Gdy umarła ta pierwsza, czuł się tak, jakby z jego życia znikło całe światło. Nie przypuszczał, że jeszcze kiedykolwiek zazna aż takiego szczęścia jak obecnie. Teraz miał i żonę, i swoją pracę. Był zadowolony i szczęśliwy.

Kobieta nieoczekiwanie odeszła na bok, rozwiązała rzemyk, rozpuściła swe gęste ciemne włosy i dźwięcznie się roześmiała. Potem ruszyła w dół po stromym, osuwającym się stoku wydmy. Długie spódnice powiewały wokół jej zgrabnych opalonych nóg. Przez pewien

czas utrzymywała równowagę, ale w połowie stoku przegrała z siłą ciążenia i przewróciła się.

Mężczyzna stał na szczycie, uśmiechając się wyrozumiale. Czasami zachowywała się jak dziecko, czasami zaś jak poważna i dystyngowana dama. Nie wiedział, co bardziej mu odpowiadało, ale kochał ją i taką, i taką.

Sturlała się do podnóża wydmy, usiadła i ze śmiechem wytrząsała piasek z włosów.

— Twoja kolej! — krzyknęła do męża.

Ruszył do niej statecznie, jak starszy pan, nieco sztywno usiłując zachować równowagę, aż dotarł na dół. Pomógł jej wstać, ale nie pocałował, choć miał na to wielką ochotę. Arabowi nie przystoi okazywać poza domem swych uczuć nawet wobec ukochanej żony.

Poprawiła ubranie i ponownie związała włosy. Ruszyli w kierunku wioski. Przy oazie okrążyli zarośla trzciny, przeszli po chwiejnych mostkach nad kanałami nawadniającymi. Chłopi wracający z pól pozdrawiali ich z wielkim respektem.

— *Salam alejkum, Doktari!* — Pokój z panem, doktorze.

Żywili szacunek do wszystkich uczonych osób, a do niego szczególnie, za wieloletnią dobroć, jaką okazywał ich rodzinom. Nie miało to dla nich specjalnego znaczenia, że on był chrześcijaninem, oni natomiast — przeważnie muzułmanami. Wielu z nich pracowało jeszcze dla jego ojca.

Gdy dotarli do domu, Alia, stara gospodyni, przywitała ich chmurnym zrzędzeniem.

— Spóźniliście się. Zawsze się spóźniacie. Dlaczego nie przestrzegacie godzin jak przyzwoici ludzie? Musimy dbać o swoją pozycję.

— Matko, jak zwykle masz rację — przekomarzał się z nią łagodnie. — Co my byśmy bez ciebie zrobili? — Odprawił ją. Odeszła, skrywając pod naburmuszoną miną swe pełne miłości zatroskanie.

We dwójkę zjedli na tarasie prosty posiłek: daktyle, oliwki, przaśny chleb i ser z koziego mleka. Gdy skończyli, zapadł mrok, lecz gwiazdy świeciły nad pustynią jasno jak świece.

— Royan, mój kwiecie — dotknął jej ręki. — Czas rozpocząć pracę.

Wstał od stołu i ruszył do swego gabinetu wychodzącego na taras.

Royan Al Simma poszła prosto do wysokiego sejfu i nastawiła szyfr. Sejf wydawał się nie na miejscu w tym pokoju wypełnionym starymi książkami i zwojami, starożytnymi statuetkami i wydobytymi z grobowców przedmiotami, które mężczyzna zbierał przez całe życie.

Ciężkie stalowe drzwi sejfu otwarły się i Royan stała przez chwilę nieruchomo. Zawsze przechodził ją dreszcz nabożnej czci na widok tego obiektu z zamierzchłej przeszłości, jeśli nawet poprzednim razem widziała go zaledwie przed paroma godzinami.

— Siódmy papirus — wyszeptała.

Miał prawie cztery tysiące lat. Zapisany został przez geniusza, który talentem przerósł nie tylko swe czasy, ale całą naszą historię. Człowiek ten w ciągu minionych tysiącleci rozpadł się w proch, ale Royan znała go i szanowała na równi ze swym mężem. Jego słowa były nieśmiertelne, dochodziły wyraźnie zza grobu, z rajskich ogrodów, sprzed oblicza wielkiej trójcy: Ozyrysa, Izydy i Horusa, trójcy, w którą żarliwie wierzył, tak jak ona wierzyła w inną Trójcę.

Z niezwykłą ostrożnością przeniosła papirus na długi stół, przy którym Duraid, jej mąż, już pracował. Gdy kładła rękopis, mężczyzna podniósł wzrok — w jego oczach ujrzała blask mistycznej ekscytacji. Rozumiała go, czuła to samo. Duraid zawsze chciał, by papirus leżał na stole tuż obok, jeśli nawet bieżąca praca tego nie wymagała. Do badań używał fotografii i mikrofilmów, ale przy studiowaniu tekstu potrzebna mu była milcząca obecność starożytnego pisarza.

— Mój kwiatuszku, masz lepsze ode mnie oczy — zwrócił się do żony. Otrząsnął się z mistycznego nastroju i znowu był rzeczowym badaczem. — Co może oznaczać ten symbol?

Pochyliła się nad jego ramieniem i uważnie patrzyła na fotografię papirusu, na wskazany hieroglif. Myślała przez chwilę, po czym wzięła od Duraida lupę i zaczęła dokładniej oglądać napis.

— Chyba Taita wymyślił dodatkowy znak, żeby utrudnić nam pracę. — Mówiła o starożytnym pisarzu, jakby był ciągle żyjącym, miłym, choć czasami dokuczliwym przyjacielem, który spłatał im psikusa.

— Wobec tego musimy po prostu odgadnąć — stwierdził Duraid z wyraźną przyjemnością. Uwielbiał antyczne zagadki. Rozwiązywał je przez całe życie.

Nastał nocny chłód. O tej porze oboje pracowali najowocniej. Czasami zwracali się do siebie po arabsku, czasem po angielsku — nie stanowiło to dla nich różnicy. Rzadziej rozmawiali po francusku, w ich trzecim wspólnym języku. Oboje studiowali w Anglii i w Stanach Zjednoczonych, daleko od tego oto, ich własnego Egiptu. Royan bardzo lubiła to określenie: „ten oto Egipt”, zwrot, którego Taita na swych papirusach używał nader często.

Czuła szczególne powinowactwo z tym starożytnym Egipcjaninem. Cóż, ostatecznie była jego bezpośrednim potomkiem. Należała do

chrześcijan, do Koptów, nie do Arabów, którzy przecież tak niedawno — zaledwie czternaście wieków temu — podbili Egipt. Arabowie byli świeżymi przybyszami w tym oto Egipcie, natomiast jej linia genealogiczna sięgała czasów faraonów, budowniczych wielkich piramid.

Alia, nim wróciła do swego domu w wiosce, rozpaliła węglem drzewnym w piecyku, by można było grzać wodę. O dziesiątej Royan przygotowała kawę. Sączyli teraz słodki, mocny napój z cienkich filiżanek wypełnionych do połowy gęstymi fusami. Pijąc dyskutowali jak starzy przyjaciele.

Royan właśnie w ten sposób traktowała ich związek — jak starą przyjaźń. Znała Duraida od chwili, gdy po zrobieniu doktoratu z archeologii wróciła z Anglii i wygrała konkurs na pracę w Dziale Starożytności, gdzie dyrektorem był Duraid.

Pomagała mu, kiedy w Dolinie Szlachty otwierał grobowiec królowej Lostris, pochodzący mniej więcej z 1780 roku przed Chrystusem.

Dzieliła rozczarowanie swego szefa, gdy odkryli, że grobowiec splądrowano już w starożytności, ograbiając ze wszystkich skarbów. Pozostały jedynie wspaniałe freski pokrywające ściany i sklepienie.

To właśnie Royan fotografowała mur za cokołem, na którym stał niegdyś sarkofag, gdy nagle odpadł kawałek tynku, odsłaniając niszę z dziesięcioma alabastrowymi wazami. W każdej z nich znajdował się zwój papirusu — wszystkie zapisane i umieszczone tam przez Taitę, niewolnika królowej.

Od tamtego odkrycia życie Royan i Duraida kręciło się wokół papirusowych skrawków. Choć w wielu miejscach były uszkodzone i zamazane, to jednak, jak na dokument liczący cztery tysiące lat, przechowały się nadzwyczaj dobrze.

Jakąż fascynującą opowieść zawierały te papirusy! Opowieść o narodzie zaatakowanym przez silniejszego wroga na koniach i rydwanach — pojazdach jeszcze nieznanych ówczesnym Egipcjanom. Ludzie znad Nilu, zmiażdżeni przez hordy Hyksosów, zostali zmuszeni do ucieczki. Poprowadziła ich królowa Lostris — właśnie ta odnaleziona w grobowcu. Poszli na południe wzdłuż wielkiej rzeki, prawie do jej źródeł na surowych etiopskich wyżynach. Tam, w posępnych górach, Lostris pochowała zmumifikowane ciało swego męża, faraona Mamose, zabitego w potyczce z Hyksosami.

Po wielu latach królowa Lostris powiodła swój lud z powrotem na północ, do „tego oto” Egiptu. Tym razem mieli własne konie i rydwany, a surowe warunki dzikiej Afryki przemieniły ich w zaciekłych

wojowników. Ruszyli w dół katarakt wielkiej rzeki i ponownie stawili czoło hyksoskim najeźdźcom. Pokonali ich i odzyskali panowanie zarówno nad Górnym, jak i nad Dolnym Egiptem.

Opowieść ta głęboko poruszyła Royan i coraz bardziej ją fascynowała, gdy wraz z mężem odcyfrowywali kolejne hieroglify wypisane na papirusie przez starego niewolnika.

Zajęło im to parę lat. Ślęczeli wieczorami tu, w tym domu w oazie, dokąd przyjeżdżali po całodziennej pracy w kairskim muzeum. W końcu odczytali wszystkie zwoje, z wyjątkiem siódmego. Ten w dalszym ciągu pozostawał zagadką. Autor ukrył treść pod warstwą ezoterycznych znaków i odnośników, zbyt niejasnych i tajemniczych, by można je było zgłębić po tylu wiekach. Niektóre z użytych przez niego symboli nie występowały w żadnym innym tekście, a Royan i Duraid mieli za sobą lekturę tysięcy papirusów. Zrozumieli, że Taita chciał, by zwój mogła odczytać jedynie jego ukochana królowa, nikt inny. Przygotował dla niej ostatni podarunek, który miała zabrać ze sobą w pośmiertną podróż.

Royan i Duraid wykorzystali wszystkie swoje umiejętności, całą wyobraźnię i pomysłowość, ale wreszcie zbliżali się do końca pracy. W tłumaczeniu papirusowego zwoju wiele jeszcze było luk, nie mieli pewności, czy wszystko właściwie zrozumieli, lecz odtworzyli już szkielet manuskryptu i pojęli w ogólnych zarysach jego treść.

Duraid popijał teraz kawę i kręcił głową, co często robił przy pracy nad manuskryptem.

— Przeraża mnie ta odpowiedzialność — stwierdził. — Co zrobić z wiedzą, jaką zdobyliśmy. Jeśli trafi ona w niepowołane ręce... — pociągnął łyk kawy i westchnął. — Jeśli nawet przekażemy to właściwym ludziom, czy uwierzą w przesłanie sprzed czterech tysięcy lat?

— Po co mieszać w to innych? — w głosie Royan brzmiało lekkie rozdrażnienie. — Dlaczego sami nie zrobimy tego co trzeba?

W takich właśnie sprawach ujawniały się między nimi największe różnice. Przez niego przemawiała ostrożność człowieka dojrzałego, ona zaś gotowa była postępować z młodzieńczą impulsywnością.

— Niczego nie rozumiesz — odparł.

Irytowało ją, gdy w ten sposób mówił, gdy traktował ją tak, jak Arabowie traktują kobiety w swym całkowicie męskim świecie. Royan znała też inny świat, gdzie kobiety domagają się równych praw i otrzymują je. Czuła się uwięziona między tymi dwoma światami — Zachodem i światem arabskim.

Matka Royan była Angielką. Pracowała w Ambasadzie Brytyjskiej w Kairze w trudnym okresie po drugiej wojnie światowej. Tam poznała i poślubiła ojca Royan, młodego egipskiego oficera ze sztabu pułkownika Nasera. Nie był to typowy związek i rozpadł się, nim Royan osiągnęła wiek młodzieńczy.

Matka, zgodnie ze swą wolą, wróciła do Anglii, do swego rodzinnego miasta York i tam urodziła córkę. Chciała, by dziecko miało obywatelstwo brytyjskie. Gdy rodzice Royan się rozwiedli, dziewczynka na życzenie matki wyjechała do szkoły w Anglii, ale wakacje zawsze spędzała w Kairze z ojcem, który tymczasem robił świetną karierę i osiągnął stanowisko ministra w rządzie Mubaraka. Royan kochała ojca i uważała się bardziej za Egipcjankę niż za Angielkę.

To właśnie ojciec zaaranżował jej małżeństwo z Duraidem Al Simmą. Była to ostatnia sprawa, jaką próbował dla niej załatwić. Wiedziała, że jest umierający i nie miała serca mu odmówić. Cała jej nowoczesna edukacja skłaniała ją do buntu przeciw staremu koptyjskiemu zwyczajowi kojarzenia małżeństw, ale wychowanie, rodzina i Kościół były przeciw niej. Wyraziła zgodę.

Małżeństwo z Duraidem okazało się nie aż tak straszne, jak się obawiała. Byłoby nawet zupełnie przyjemne i satysfakcjonujące, gdyby Royan nie poznała wcześniej miłości romantycznej. Podczas studiów na uniwersytecie związana była z niejakim Dawidem. Szaleńczo zawrócił jej w głowie, a potem opuścił ją i poślubił jasnowłosą Angielkę, akceptowaną przez jego rodziców. Bardzo mocno to przeżyła.

Royan szanowała i lubiła Duraida, ale czasami w nocy gorąco pragnęła mieć obok siebie ciało równie sprężyste i młode jak własne.

Duraid ciągle coś do niej mówił, lecz nie słuchała go. Teraz postanowiła skupić się całkowicie na jego słowach.

— Ponownie rozmawiałem z ministrem, ale chyba mi nie dowierza. Podejrzewam, że Nahoot zdołał go przekonać, iż jestem trochę stuknięty. — Zaśmiał się smutno. Nahoot Guddabi był jego ambitnym i ustosunkowanym zastępcą. — Minister twierdzi, że rząd nie ma na to pieniędzy i muszę poszukać innych funduszy. Przejrzałem więc ponownie listę potencjalnych sponsorów i po selekcji zostało ich czterech. Oczywiście wchodzi jeszcze w grę Muzeum Getty'ego, ale nigdy nie lubiłem współpracować z wielką bezosobową instytucją. Wolę mieć do czynienia z pojedynczym człowiekiem. Łatwiej wtedy o szybką decyzję.

Dla Royan nie były to nowiny, słuchała jednak pilnie.

— Jest jeszcze Herr von Schiller. Bogaty i zainteresowany tą sprawą. Nie znam go jednak na tyle dobrze, by mieć do niego całkowite zaufanie.

Przerwał. Royan już wielokrotnie przedtem słyszała te rozważania.

— A Amerykanin? — uprzedziła wypowiedź męża. — To słynny kolekcjoner.

— Z Peterem Walshem trudno się współpracuje. Z taką pasją powiększa swoje zbiory, że pozbawiony jest wszelkich skrupułów. Przeraża mnie trochę.

— Kto więc zostaje?

Nic nie odrzekł, gdyż oboje znali odpowiedź. Ponownie skupił uwagę na materiałach rozrzuconych na stole.

— To wszystko wygląda tak niewinnie, przyziemnie. Stary zwój papirusu, kilka fotografii, notatniki, wydruki komputerowe. Aż trudno uwierzyć, że w niepowołanych rękach mogłoby się to stać bardzo niebezpieczne. — Znowu westchnął. — Rzekłbym nawet: śmiertelnie niebezpieczne. — Zaśmiał się. — Zaczynam fantazjować. Może to z powodu późnej pory. Wrócimy do pracy? Będziemy się martwić o pozostałe sprawy, gdy rozwiążemy wszystkie zagadki tego starego drania, Taity, i ukończymy tłumaczenie.

Ze stosu na stole wziął wierzchnią fotografię. Przedstawiała środkowy fragment zwoju.

— To straszny pech, że właśnie w tym miejscu papirus jest uszkodzony. — Włożył okulary i zaczął głośno czytać.

> *Trzeba przebyć wiele stopni, by dotrzeć do przybytku Hapi. Z wielką trudnością i wysiłkiem osiągnęliśmy drugi stopień i dalej się nie posunęliśmy, gdyż właśnie tu książę miał objawienie. We śnie odwiedził go ojciec, zmarły boski faraon, i rzekł mu: „Odbyłem daleką podróż i zmęczyłem się. Właśnie tu spocznę na wieczność”.*

Duraid zdjął okulary i spojrzał na Royan.

— „Drugi stopień”. Nareszcie jakiś dokładny opis. Zwykle Taita wyraża się mgliście.

— Wróćmy do zdjęć satelitarnych — zaproponowała Royan i przysunęła do siebie błyszczącą kartkę.

Duraid obszedł stół i stanął z tyłu za żoną.

— Tymi naturalnymi przeszkodami, które spotkali w wąwozie, mogą być wodospady albo silny prąd. To najbardziej logiczne wyjaś-

nienie. Gdyby chodziło o drugi wodospad, miejsce wypada tu... — Royan położyła palec na zdjęciu satelitarnym, tam, gdzie wąska wstążka rzeki wiła się między ciemnymi masywami gór.

Nagle coś ją zaniepokoiło. Podniosła wzrok.

— Posłuchaj! — W jej głosie brzmiał lęk.

— Co to takiego? — Duraid również zaczął nasłuchiwać.

— Pies — odparła.

— Przeklęty kundel. Wciąż obrzydza nam noce swym jazgotem. Obiecywałem już sobie, że się go pozbędę.

Wtem zgasło światło.

Zaskoczeni, zamarli w ciemności. Łagodne dudnienie zdezelowanej dieslowskiej prądnicy, umieszczonej w szopie za palmowym gajem, ustało. Ten dźwięk był tak związany z oazą, że uwagę zwracał dopiero jego brak.

Po chwili wzrok ich przywykł do ciemności rozjaśnionych słabym światłem gwiazd, wpadającym przez wyjście na taras. Z półki przy drzwiach Duraid wziął lampę naftową, czekającą tam na takie właśnie okazje. Zapalił ją i spojrzał na Royan z wyrazem komicznej rezygnacji.

— Muszę zejść...

— Duraidzie — przerwała mu — pies!

Nasłuchiwał przez chwilę i na jego twarzy pojawiło się lekkie zaskoczenie. W nocnej ciszy nie było słychać psiego ujadania.

— Jestem pewien, że nie ma powodu do niepokoju. — Podszedł do drzwi.

— Duraidzie, bądź ostrożny! — zawołała za nim nie wiedzieć czemu.

Wzruszył obojętnie ramionami i zszedł z tarasu.

Przez chwilę Royan miała wrażenie, że widzi cień winnej latorośli, poruszanej pustynną bryzą, lecz noc była bezwietrzna. Potem uświadomiła sobie, że to postać ludzka cicho i zwinnie kroczy po kamiennych płytach, podążając za Duraidem, który właśnie omijał basenik z rybkami pośrodku tarasu.

— Duraid! — ostrzegła go krzykiem.

Odwrócił się i uniósł wysoko lampę.

— Kim pan jest?! — zawołał. — Czego pan tu chce?!

Intruz cicho podszedł bliżej. Tradycyjna długa szata diszdasza falowała mu wokół nóg, a głowę okrywała biała chusta ghutrah. W świetle lampy Duraid zauważył, że nieznajomy rogiem chusty zasłonił swą twarz, by go nie rozpoznano.

Intruz zwrócony był do Royan tyłem, nie widziała więc noża

w jego prawej dłoni. Zobaczyła jednak ruch ręki, gdy dźgnął Duraida w brzuch. Duraid zacharczał z bólu i zgiął się wpół. Napastnik wyciągnął ostrze z jego ciała i zaatakował ponownie, lecz Duraid upuścił lampę i schwycił uzbrojoną rękę bandyty.

Płomień rozbitej lampy migotał nierówno. Dwaj mężczyźni walczyli w mroku, Royan dostrzegła jednak ciemną plamę powiększającą się z przodu na białej koszuli męża.

— Uciekaj! — krzyknął ochryple. — Biegnij po pomoc! Ja go nie zdołam zatrzymać! — Duraid był osobą łagodną, spokojnym uczonym. Royan wiedziała, że nie ma szans w walce z napastnikiem.

— Biegnij! Proszę! Ratuj się, kwiatku! — wołał słabnącym głosem, lecz wciąż rozpaczliwie ściskał uzbrojoną rękę bandyty.

Przez kilka strasznych sekund Royan stała jak sparaliżowana, ale natychmiast się otrząsnęła i pobiegła do drzwi. Przerażona, chcąc pomóc mężowi, zwinnie jak kot przebiegła przez taras. Duraid przytrzymywał napastnika, by nie zagrodził jej drogi.

Przeskoczyła przez niski kamienny murek, w zarośla, i omal nie wpadła w ręce czatującego tam mężczyzny. Krzyknęła i udało jej się wywinąć, choć wyciągnięte palce bandyty prześlizgnęły się po jej twarzy i wczepiły w cienką bawełnianą bluzkę.

Tym razem dostrzegła nóż — długi srebrzysty błysk w świetle gwiazd — i to ją zmobilizowało do nowego wysiłku. Bluzka pękła i Royan była wolna, lecz napastnik zdążył zadać cios. Poczuła ostrze na barku. Przerażona rzuciła się na mężczyznę z całą siłą swego sprężystego młodego ciała. Stopę władowała mu w krocze z takim impetem, że nadwerężyła sobie kostkę i kolano. Bandyta zawył i skulił się przy ziemi.

Popędziła przez zarośla. Początkowo uciekała bez celu, nogi niosły ją jak najdalej od zabójców. Usiłowała ochłonąć i opanować się. Spojrzała za siebie — nikt jej nie ścigał. Gdy dotarła do brzegu jeziora, zwolniła, oszczędzając siły. Zdała sobie sprawę, że po ręce ścieka jej ciepła strużka krwi i kapie z palców.

Przystanęła, oparła się o szorstki pień palmy, oddarła pasek bawełny z rozszarpanej bluzki i pośpiesznie przewiązała sobie ramię. Cała trzęsła się z przerażenia i wysiłku — nawet zdrowa ręka niezbornie drżała. Zębami i lewą dłonią zrobiła węzeł i zatamowała nieco krwawienie.

Nie wiedziała, dokąd ma uciekać. Nagle dostrzegła przyćmione światło lampy w chacie Alii po drugiej stronie pobliskiego kanału nawadniającego. Odepchnęła się od pnia palmy i ruszyła w tamtym

kierunku. Przebiegła niecałe sto kroków, gdy z tyłu z zarośli usłyszała, jak ktoś wołał po arabsku:

— Jusuf, natknąłeś się na tę kobietę?

W ciemności przed sobą zobaczyła światło latarki.

— Nie, nie widziałem jej — odparł inny głos.

Jeszcze parę sekund, a wpadłaby na niego. Przycupnęła i rozpaczliwie rozglądała się wokół. W zaroślach, tą samą ścieżką, którą Royan przybiegła, przybliżało się światło drugiej latarki. To musiał być mężczyzna, którego kopnęła, ale sądząc z energicznego ruchu snopa światła, przyszedł już do siebie i teraz poruszał się szybko i bez trudności.

Odcięto jej drogę z obu stron. Postanowiła wycofać się nad jezioro, gdzie brzegiem prowadziła szosa. Liczyła na to, że napotka tam może jakiś spóźniony samochód. Potknęła się na nierównym gruncie i upadła, ścierając sobie kolana, lecz poderwała się natychmiast i pognała dalej. Ponownie się potknęła i wyciągniętą ręką natrafiła na gładki kamień wielkości pomarańczy. Zabrała kamień — dawało jej to poczucie, że ma przynajmniej jakąś broń.

Zranione ramię zaczynało boleć. Niepokój o Duraida dodawał jej sił. Zdawała sobie sprawę, że został ciężko skaleczony, gdyż widziała, z jaką siłą zadano mu cios. Musi sprowadzić pomoc. Dwaj ludzie z latarkami przeczesywali zarośla. Doganiali ją. Słyszała ich nawoływania.

Wreszcie dobrnęła do drogi i cicho pisnąwszy z ulgi, wygramoliła się z rowu odwadniającego na jasną szutrową szosę. Ledwo mogła iść, gdyż nogi pod nią drżały, ruszyła jednak w stronę wioski.

Nie dotarła nawet do pierwszego zakrętu, gdy z naprzeciwka powoli zaczęło się do niej zbliżać światło reflektorów, przebłyskujące między pniami palm. Podbiegła środkiem drogi.

— Pomocy! — wołała po arabsku. — Proszę o pomoc!

Samochód wyjechał zza zakrętu i nim oślepiły ją reflektory, zobaczyła, że to niewielki ciemny fiat. Stała na środku drogi machając rękoma, by zatrzymać kierowcę. Reflektory oświetlały ją jak na scenie.

Fiat zahamował tuż przed nią. Royan podbiegła do drzwi kierowcy i szarpnęła za klamkę.

— Proszę, musi mi pan pomóc...

Drzwi otworzyły się od środka z taką siłą, że Royan straciła równowagę. Kierowca wyskoczył z samochodu i schwycił ją za przegub zranionej ręki. Powlókł do auta i otworzył tylne drzwi.

— Jusuf! Bacheet! — krzyknął w kierunku ciemnych zarośli. — Mam ją.

Usłyszała, jak mu odpowiadają i równocześnie światło latarek skierowało się na drogę. Kierowca otworzył drzwi, próbując wepchnąć ją do środka głową naprzód. Wtedy przypomniała sobie, że w zdrowej ręce ma kamień. Odwróciła się nieco, zebrała wszystkie siły i z zamachem uderzyła mężczyznę. Trafiła kamieniem prosto w skroń. Bezgłośnie padł na drogę. Leżał nieruchomo.

Wyrzuciła kamień i ruszyła szosą, ale zorientowała się, że światła latarek śledzą każdy jej ruch. Dwaj mężczyźni krzyczeli z krzaków i niemal ramię w ramię wybiegli na szosę.

Spojrzała za siebie — dogonią ją z łatwością. Jedyną szansą była ucieczka ponownie w ciemność. Skręciła nad jezioro. Od razu znalazła się po pas w wodzie.

Straciła orientację. Nie pamiętała, że w tym miejscu droga biegnie po nasypie tuż nad brzegiem. Zdała sobie sprawę, że nie zdąży ponownie wdrapać się na nasyp. Przed sobą miała gęste kępy papirusów i trzcin, mogące dać jej schronienie.

Ostrożnie przeszła parę kroków, aż wyczuła, że dno opada stromo pod stopami. Teraz musiała płynąć. Ruszyła niezgrabną żabką. Przeszkadzały jej spódnice i zraniona ręka. A jednak wolne, ukradkowe ruchy prawie nie wywoływały fal na powierzchni wody i zanim prześladowcy dobiegli do miejsca, gdzie Royan zeszła do jeziora, udało jej się dotrzeć w gęste trzciny.

Przedarła się w głąb szuwarów i zanurzyła. Nim woda przykryła jej nos, Royan poczuła, że palcami stóp dotyka mulistego dna. Stanęła spokojnie i tylko czubek głowy wystawał jej nad powierzchnię. Odwróciła twarz od brzegu. Miała pewność, że ciemne włosy nie będą odbijały światła.

Chociaż woda zakrywała jej uszy, słyszała podniecone głosy mężczyzn na drodze. Latarkami przeszukiwali powierzchnię jeziora, próbowali oświetlić szuwary. Przez chwilę miała na swej głowie świetlistą plamę i zaczerpnęła powietrza, by ukryć się pod wodą, lecz snop światła przesunął się dalej i Royan była pewna, że jej nie zauważono.

To ją ośmieliło. Uniosła lekko głowę, wynurzając jedno ucho, by słyszeć rozmowę swych prześladowców.

Mówili po arabsku. Royan rozpoznała głos jednego z nich, tego, którego zwali Bacheet. Był najprawdopodobniej ich przywódcą, gdyż wydawał rozkazy.

— Wejdź do wody, Jusuf, i wyciągnij tę dziwkę.

Usłyszała plusk — Jusuf ześlizgiwał się z brzegu.

— Dalej — polecił Bacheet. — W tamte trzciny, gdzie świecę latarką.

— Tu jest za głęboko. Wiesz, że nie umiem pływać. Całkiem mnie zakryje.

— Tam! Przed tobą. W tamtych szuwarach. Widzę jej głowę — zachęcał go Jusuf i Royan zamarła z obawy, że ją wytropiono. Zanurzyła się, jak mogła najgłębiej.

Jusuf plaskał niezgrabnie, dążąc do miejsca, gdzie Royan kuliła się ze strachu. Wtem nastąpiło głośne zamieszanie, które przeraziło nawet Jusufa.

— Dżiny! Boże, ratuj mnie! — krzyknął.

Stado śpiących kaczek poderwało się z wody i głośno furkocząc skrzydłami, wystrzeliło w ciemne niebo.

Jusuf ruszył do brzegu i już żadne groźby Bacheeta nie skłoniłyby go do dalszych poszukiwań.

— Kobieta nie jest taka ważna, ważniejszy jest zwój — stwierdził, wychodząc na szosę. — Bez zwoju nie dostaniemy pieniędzy. Odnajdziemy ją później.

Royan odwróciła nieco głowę. Światło latarek przesuwało się po drodze w kierunku samochodu stojącego z włączonymi reflektorami. Usłyszała dźwięk zatrzaskiwanych drzwi, silnik zapalił i auto pojechało w kierunku willi.

Zbyt jeszcze przerażona, by opuścić swą kryjówkę, Royan obawiała się, że któryś z napastników został na czatach. Stanęła na czubkach palców, wodę miała na wysokości ust. Drżała bardziej ze strachu niż z zimna, gotowa czekać tak aż do świtu.

Dopiero znacznie później dostrzegła łunę ognia na niebie i migoczące płomienie za pniami palm. Wtedy przestała myśleć o swym własnym bezpieczeństwie i wyszła na brzeg.

Uklękła w błocie, drżąc i łapiąc powietrze, osłabiona z upływu krwi, z przerażenia i szoku po tych wszystkich przejściach. Przez zasłonę mokrych włosów i wody ściekającej do oczu patrzyła na ogień.

— Willa! — wyszeptała. — Duraid! O Boże, błagam, nie!

Wstała z trudem i potykając się ruszyła w kierunku płonącego domu.

Bacheet wyłączył reflektory i silnik, jeszcze nim skręcili w stronę domu. Samochód toczył się rozpędem i zatrzymał na dole przed tarasem.

Wszyscy trzej wysiedli i weszli po kamiennych schodach na taras. Ciało Duraida leżało przy baseniku, tam gdzie Bacheet je zostawił. Minęli je obojętnie i wkroczyli do ciemnego gabinetu.

Bacheet położył na stole tandetną naramienną torbę.

— Straciliśmy już za dużo czasu. Musimy się zwijać.

— To wina Jusufa — wtrącił kierowca fiata. — Pozwolił uciec tej kobiecie.

— Miałeś okazję złapać ją na drodze — warknął Jusuf. — Sam spisałeś się niewiele lepiej.

— Dosyć! — rzekł Bacheet. — Jeśli chcecie otrzymać forsę, lepiej nie róbcie więcej błędów.

Oświetlił latarką blat stołu i odnalazł zwój.

— To ten. — Widział wcześniej jego fotografię, więc nie mogło być pomyłki. — Chcą mieć wszystko: mapy i zdjęcia. Również książki i notatki. Wszystko, co tu leży na stole. Niczego nie zostawiajcie.

Pośpiesznie wpakowali papiery do torby i Bacheet zasunął zamek błyskawiczny.

— Teraz *Doktari.* Przywleczcie go tutaj.

Dwaj z nich przeszli na taras i pochylili się nad leżącym ciałem. Każdy z nich chwycił za jedną nogę i pociągnęli Duraida przez taras do gabinetu. Jego głowa odbiła się bezwładnie na kamiennym schodku, a krew znaczyła na posadzce długi mokry ślad, błyszczący w świetle latarki.

— Daj tu lampę! — rozkazał Bacheet, a Jusuf wrócił na taras po naftową lampę, którą Duraid upuścił. Nie paliła się. Bacheet przyłożył lampę do ucha i potrząsnął nią. — Pełna — stwierdził zadowolony i odkręcił korek pojemniczka. — Dobra, zabierajcie torbę do samochodu! — rozkazał.

Gdy dwaj podkomendni pobiegli, spryskał naftą koszulę i spodnie Duraida, potem zbliżył się do półek i chlapnął resztkę płynu na stłoczone tam książki i rękopisy.

Rzucił lampę i sięgnął pod diszdaszę po pudełko zapałek. Potarł jedną z nich i przyłożył do wilgotnego śladu nafty na bibliotece. Ogień buchnął natychmiast w górę. Brzegi manuskryptów czerniały i zwijały się. Bacheet podszedł do leżącego Duraida, zapalił drugą zapałkę i rzucił na jego skrwawioną koszulę, skropioną naftą.

Na piersi Duraida zadrgała peleryna niebieskich płomieni. Zmieniały barwę, w miarę jak wypalała się bawełniana koszula i skóra pod nią. Z pomarańczowych teraz języków unosił się dymek ciemnej sadzy.

Bacheet ruszył do drzwi, wpadł na taras i zbiegł po schodkach do samochodu. Wgramolił się na tylne siedzenie. Kierowca dał gazu i odjechali sprzed domu.

Bardzo silny ból ocucił Duraida, przywołał go z owego dalekiego miejsca, z samego krańca życia.

Jęknął. Pierwszym wrażeniem po odzyskaniu świadomości był zapach palącego się ciała. Wtedy zwalił się na niego rozdzierający ból. Otworzył oczy i spojrzał na siebie.

Poczerniała odzież tliła się. Takich mąk nie doświadczył jeszcze w swoim życiu. Jak przez mgłę uświadomił sobie, że całe pomieszczenie stoi w ogniu. Omiatał go dym i fale żaru, przez które ledwo widział drzwi.

Cierpiał tak strasznie, że wolałby umrzeć i nie znosić tego dłużej. Wtedy wspomniał Royan. Usiłował wymówić jej imię, ale z poparzonych, spieczonych ust nie wydobył się żaden dźwięk. Myśl o żonie zdołała jednak skłonić go do ruchu. Obrócił się na bok i gorąco buchnęło mu w plecy, dotychczas osłonięte od żaru. Jęknął głośno i znów się obrócił, zbliżając nieco do drzwi.

Każdy ruch wymagał niesamowitego wysiłku, wywoływał nowy atak bólu. Gdy Duraid przesunął się jeszcze raz, zauważył, że przez otwarte drzwi wpada świeży podmuch i podsyca płomienie. Czyste pustynne powietrze dało mu odrobinę siły, by mógł sturlać się ze schodka na chłodny kamienny taras.

Ubranie i ciało paliły się. Zaczął słabo uderzać w pierś, by stłumić płomienie. Ręce miał jak czarne, płonące szpony.

Wtedy przypomniał sobie basenik. Myśl o zanurzeniu umęczonego ciała w zimnej wodzie przynagliła go do ostatecznego wysiłku. Czołgał się i wił po kamieniach niczym wąż.

Dławił go fetor palącego się ciała, pokasływał, lecz zaciekle parł naprzód. Gdy przetaczał się przez murek baseniku, na kamieniach zostawiał płaty spieczonej skóry. Woda zasyczała: blada mgiełka pary przesłoniła mu widok do tego stopnia, iż myślał przez chwilę, że oślepł. Zetknięcie zimnej wody ze świeżo poparzonym ciałem wywołało tak silny ból, że Duraid znowu stracił przytomność.

Kiedy z pomroków wracał do świadomości, uniósł głowę ociekającą wodą i zobaczył jakąś postać. Nadchodziła z ogrodu, zataczając się na schodach.

Początkowo myślał, że to wywołany bólem majak, ale gdy ogień lepiej ją oświetlił, rozpoznał Royan. Mokre włosy wisiały jej w strąkach na twarzy, ubranie miała podarte, ociekające wodą, poplamione błotem i oblepione zielonymi glonami. Na prawej ręce dostrzegł przewiązaną brudną szmatę, przez którą sączyła się krew, tworząc rdzawą plamę.

Royan nie zauważyła go. Przystanęła na środku tarasu i ze zgrozą patrzyła na płonący dom. Czy Duraid jest wewnątrz? Chciała wejść do środka, lecz powstrzymała ją zapora żaru. W tym momencie zawalił się dach, a w górę, wysoko w ciemne niebo, wystrzelił snop iskier i płomieni. Cofnęła się, zasłaniając twarz ramieniem.

Duraid chciał ją zawołać, jednak z poparzonego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Royan odwróciła się i zaczęła schodzić po stopniach. Najprawdopodobniej szła po pomoc. Zdobył się na nadludzki wysiłek i z osmalonych, pokrytych pęcherzami warg wydał głos przypominający krakanie.

Royan okręciła się szybko i spojrzała na niego. Wrzasnęła. Jego głowa nie przypominała głowy człowieka. Włosy miał spalone, a skóra na policzkach i brodzie zwisała w strzępach. Przez zwęgloną maskę przebijały płaty żywego ciała. Royan cofnęła się, jakby zobaczyła ohydnego potwora.

— Royan — zacharczał ledwo rozpoznawalnym głosem. Wysunął ku niej dłoń. Podbiegła do stawku i uchwyciła ją.

— Najświętsza Panienko, co oni z tobą zrobili? — załkała. Usiłowała wyciągnąć go na brzeg, ale skóra jego dłoni została jej w ręce, niczym ściągnięta upiorna rękawiczka chirurgiczna, odsłaniając szpon okryty krwawiącym mięsem.

Przyklękła przy murku i pochyliła się nad basenikiem, chcąc wziąć męża w ramiona. Nie miała dość sił, by go unieść, nie powodując bolesnych urazów. Mogła go jedynie podtrzymywać i pocieszać. Zrozumiała, że on umiera. Żaden przecież człowiek nie zdołałby przeżyć tak strasznych obrażeń.

— Zaraz nadejdzie pomoc — szeptała po arabsku. — Ktoś na pewno widział pożar. Wytrwaj, mój drogi, zaraz będzie pomoc.

Śmiertelnie ranny, skręcał się konwulsyjnie w jej ramionach. Wysiłek przy mówieniu był dla niego torturą.

— Zwój? — spytał ledwo dosłyszalnie.

— Przepadł. — Royan popatrzyła na ogień szalejący w domu i potrząsnęła głową. — Spalony lub wykradziony.

— Nie pozwól. Cała nasza praca...

— Przepadł — powtórzyła. — Nikt nam nie uwierzy bez...

— Nie! — Głos miał słaby, lecz pełen wściekłości. — Dla mnie, moja ostatnia...

— Nie mów tak — błagała. — Wyzdrowiejesz.

— Obiecaj — zażądał. — Obiecaj mi!

— Nie mamy sponsora. Jestem sama. Nie zdołam tego zrobić.

— Harper! — wydusił z siebie. Royan nachyliła się bliżej, uchem dotknęła spalonych ust. — Harper — powtórzył. — Silny... twardy... zaradny człowiek... — i wtedy zrozumiała.

Oczywiście, Harper. Czwarta i ostatnia osoba na liście. Choć to nazwisko znajdowało się na samym końcu, Royan zawsze wyczuwała, że jeśli chodzi o preferencje Duraida, kolejność była odwrócona. To Nicholas Quenton-Harper miał uprzywilejowaną pozycję. Bardzo często wyrażał się o tym człowieku ciepło i z szacunkiem, a czasem nawet z podziwem.

— Ale cóż mu powiem? Nie zna mnie. Jak go mam przekonać? Siódmy papirus zniknął.

— Zaufaj mu — wyszeptał. — Dobry człowiek. Zaufaj mu... Obiecaj! — dodał z niezwykłym naciskiem.

Wtedy przypomniała sobie notatnik znajdujący się w ich mieszkaniu w Gizie, na przedmieściach Kairu, i materiały o Taicie na twardym dysku peceta. Nie wszystko jeszcze przepadło.

— Tak, obiecuję ci, mój mężu. Obiecuję.

Choć zmasakrowana twarz nie wyrażała żadnych ludzkich uczuć, w jego szepcie pobrzmiewało słabe echo zadowolenia.

— Mój kwiecie!

Potem głowa mu opadła. Skonał w jej ramionach.

Chłopi, przybyli z wioski, znaleźli Royan przy baseniku. Wciąż klęczała, trzymała męża w objęciach i coś mu szeptała. Pożar dogasał — światło jutrzenki było silniejsze od tlącego się żaru.

Na nabożeństwo żałobne do kościoła w oazie przybyli wszyscy starsi pracownicy muzeum i Departamentu Starożytności. Nawet przełożony Duraida, minister kultury i turystyki, Atalan Abou Sin, przyjechał z Kairu czarnym służbowym klimatyzowanym mercedesem.

Stanął za Royan i choć sam był muzułmaninem, powtarzał słowa koptyjskiej modlitwy. Nahoot Guddabi stał obok swego wuja. Matka Nahoota była młodszą siostrą ministra, co — jak sarkastycznie zwykł komentować Duraid — z nawiązką miało rekompensować synowski

brak kwalifikacji i doświadczenia w dziedzinie archeologii oraz jego nieudolność jako menedżera.

Panował niemiłosierny ponadtrzydziestostopniowy upał. Doskwierał nawet tu, w mrocznym klasztorze. W gęstych oparach kadzidła, słuchając odzianego w czerń duchownego, mamroczącego dawne modlitwy, Royan miała wrażenie, że się dusi. Szwy na prawym ramieniu ciągnęły ją i piekły, a za każdym razem, gdy spoglądała na długą czarną trumnę, stojącą przy pozłacanym ołtarzu, stawał jej przed oczami przerażający widok spalonej, pozbawionej włosów głowy Duraida. Wirowało jej wszystko przed oczami i musiała się przytrzymywać, by nie spaść z ławki.

Msza dobiegła końca. Royan mogła wreszcie wyjść na świeże powietrze, na światło, lecz jej obowiązki jeszcze się nie skończyły. Jako najważniejsza żałobnica musiała iść tuż za trumną na położony wśród palm cmentarz, gdzie w rodzinnym grobowcu czekali już krewni Duraida.

Atalan Abou Sin podszedł do niej i uścisnął jej rękę, składając kondolencje.

— Straszna historia, Royan. Rozmawiałem z ministrem spraw wewnętrznych. Złapią tych zbirów, zapewniam cię. Odpocznij, aż odzyskasz siły, i dopiero potem wróć do muzeum — dodał.

— Wrócę do pracy w poniedziałek — odparła.

Minister kultury wyciągnął notes z kieszeni swej ciemnej dwurzędowej marynarki, sprawdził w nim coś i zapisał.

— W takim razie — popatrzył na nią — po południu wpadnij do mnie do ministerstwa. O czwartej.

Wrócił do swego mercedesa. Jego siostrzeniec, Nahoot Guddabi, podszedł, by uścisnąć jej dłoń. Cerę miał żółtawą, pod oczami brązowe kręgi, za to włosy bujne i falujące, a zęby niezwykle białe. Był wysoki i elegancki w nienagannie skrojonym garniturze. Lekko pachniał drogą wodą toaletową. Twarz miał poważną i zasmuconą.

— Był dobrym człowiekiem. Darzyłem go najwyższym szacunkiem — powiedział do Royan, a ona kiwnęła głową na to bezwstydne kłamstwo.

Między Duraidem a jego zastępcą stosunki nie układały się najlepiej. Duraid nigdy nie pozwolił mu pracować nad papirusami Taity, nigdy nie udostępnił mu siódmego zwoju i to stanowiło źródło wzajemnych gorzkich nieporozumień.

— Royan, mam nadzieję, że będziesz się ubiegać o stanowisko dyrektora — powiedział. — Masz wszelkie ku temu kwalifikacje.